

ODLOT KULTURALNY

# Katarzyna Janowska Chłopaki nie płaczą



**J**ak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”, spektakl w reż. Mateusza Pakuły, rozbił bank na Ogólnopolskim Festiwalu na Wystawienie Sztuki Współczesnej w Kielcach.

Od kilku miesięcy wybierałam się do Łaźni Nowej w Krakowie, koproducenta spektaklu wspólnie z Teatrem im. Żeromskiego w Kielcach, na sceniczną wersję książki Pakuły, w której opisał umieranie ojca. Zawsze coś stawało mi na przeszkodzie. Po obejrzeniu spektaklu już wiem, że po prostu się bałam.

Przedstawienie opisujące ostatnie miesiące życia ojca reżysera uruchomiło doświadczenia, z którymi nie miałam siły się zmierzyć. Wszystko wróciło. Przed pandemią dowiedziałam się, że moja mama ma rozsiany nowotwór. Nie uwierzyłyśmy, że to wyrok. Mama świetnie wyglądała, dobrze się czuła, tylko od wielu miesięcy bolała ją biodro. Lekarz pierwszego kontaktu przepisywał jej masaże, zamiast dać skierowanie na tomografię. Parę tygodni od diagnozy mama skurczyła się i zmieniła w jeden wielki ból. Nocami słyszałam, jak szepcze: boli, boli. Codziennie jeździliśmy na naświetlania na drugi koniec Krakowa. Mama transportem medycznym, ja samochodem. Bolała ją każda nierówność w drodze. Bezskutecznie prosiła o spokojniejszą jazdę. Któregoś razu pielęgniarki wyrócili wózek z mamą. Upadła na chodnik. Jakimś cudem się nie połamała. Nie robiłam notatek z umierania. Kiedy kończyłam wszystkie czynności wokół mamy, zamykałam się w sypialni i oglądałam przez kilka godzin serial „Perfect wife”. Elegancka prawniczka perfekcyjnie radziła sobie z życiem, podczas gdy mnie wszystko przerażało.

W spektaklu Pakuła używa prostych środków. Na scenie pięciu aktorów, grają też żeńskie role. Reżyser rozwała stereotyp i pozwala mężczyznom płakać, przyznawać się do bezradności. W czeskim duchu rozbraja śmierć czarnym humorem.

Umieranie Marka Pakuły i mojej mamy wypadło w czasie pandemii. Nie mogło być gorzej. W spektaklu arogancki ordynator oddziału paliatywnego z powodu rygoru covidowego zabrania żonie umierającego wejść na oddział. Tymczasem ksiądz swobodnie krąży między chorymi. Syn krzyczy z wściekłości. Kiedy w końcu udaje mu się dostać do ojca, ten zarzuca mu, że go porzucił. Moją mamę przenoszą do szpitala onkologicznego. O szóstej rano dzwoni i płacze: porzuciłaś mnie. Nie podali jej leków przeciwbólowych. – Ma pani nowotwór w kościach. To musi boleć – powiedziała pielęgniarka. Dała ibuprom i kazała czekać na poranną wizytę.

Scenografię w spektaklu tworzą olbrzymie czarne rury. Ni to zjeżdżalnie, ni żyły, w których krąży śmierć. Odbieram mamę ze szpitala tuż przed Świętami Wielkiej Nocy. Wypis liczy kilka stron. Godziny podawania leków przeciwbólowych, zastrzyki, insulina, leki na obniżenie ciśnienia, na sen, na depresję. Organizm wariuje. Nigdy nie opiekowałam się obłożnie chorą osobą. Proszę lekarzkę, żeby mnie poinstruowała, co, kiedy, w jakich dawkach. – Wszystko ma pani napisane – słyszę. Zostałyśmy z mamą i z rakiem same. Mycie, ubieranie, toaleta, z godziny na godzinę opadają bariery wstydu. Mama staje do walki o życie, ja obok niej. Ciężar istnienia zawiesza na mnie. Do tej pory było odwrotnie.

Po kilku tygodniach od operacji trzustki komórki nowotworowe rozsiane są po całym ciele Marka Pakuły. Czeka go umieranie, długie, w męczarniach. Kiedy jest już zmiażdżony cierpieniem, prosi syna, żeby pomógł mu umrzeć. Syn naradza się z rodziną. Boją się, nie decydują się zabić ojca. Po dwóch tygodniach agonii ojciec umiera (wspaniały w tej roli Wojciech Niemczyk). Moja mama

***Szlag go trafia, kiedy słyszy kościelną formułę, że cierpienie uszlachetnia. Przeciwnie. Redukuje człowieka do żywej rany***

kurczowo trzyma się życia. Przy pomocy zaprzyjaźnionego lekarza znajdujemy nową terapię. Mama z nadzieją wraca do szpitala. Wyniki są ciut lepsze. Rozmawiamy ostatni raz 8 marca. Rano telefon. Niech pani przyjeżdża. Pociąg do Krakowa. Krótki chrapliwy oddech. Trzymam ją za rękę, głaszczę. Wraz z mamą umiera jej świat.

Spektakl Mateusza Pakuły kończy się wezwaniem do zalegalizowania w Polsce eutanazji. Syna szlag trafia, kiedy słyszy kościelną formułę, że cierpienie uszlachetnia. Przeciwnie. Redukuje człowieka do żywej rany. Na końcu spektaklu oglądamy zdjęcia Marka Pakuły. Poczulałam, że mojej mamie też się należy taki film, choćby w formie tekstu.

W dodatku „Strefa Kultury”, który ukazuje się w tym wydaniu „Newsweeka”, rozmawiam z Wiesławem Myśliwskim. Pisarz mówi, że na wsi niewielu lub zgoła nikt nie pamięta już rytuału czuwania przy zmarłych. Po śmierci mamy ciągle wpadają mi w ręce książki – pożegnania pisarek i pisarzy z ich najbliższymi. Pakuła wpisuje się w ten nurt. Może to właśnie jest współczesna forma czuwania. **N**